

Zdzisław M. Rurarz
[Niewydane pamiętniki]

ROZDZIAŁ II

5-6 maja 2005 r.

W czwartek 5 maja kolejna próba samorozwiązania się Sejmu, jak to było do przewidzenia, spełzła na niczym. Przy 100-procentowej frekwencji, 460-mandatowy Sejm, aby uzyskać wymaganą większość 2/3-ch dla takiej decyzji, musiałby mieć co najmniej 307 głosów „za”. W głosowaniu nad dwoma wnioskami o samorozwiązaniu się Sejmu, nad wnioskiem złożonym przez klub Ligi Polskich Rodzin udział wzięło 437 posłów. „Za” głosowało 253 posłów, 172 było „przeciw”, a 12 wstrzymało się od głosu. Drugi wniosek, przedłożony przez klub Platformy Obywatelskiej, również przypadł. W głosowaniu wzięło udział 438 posłów, z czego „za” było 255, „przeciw” 172, a 11 wstrzymało się od głosu. W obu przypadkach, zamiast ok. 64 proc, wymaganej większości dla przejścia wniosku, uzyskano tylko 58 procent.

W ten sposób, trwająca już od roku próba opozycji, dążąca do samorozwiązania się Sejmu, ostatecznie poniosła porażkę. Wybory do Sejmu i Senatu, tworzącego od czerwca 1989 r. wskrzeszone Zgromadzenie Narodowe, odbędą się więc w normalnie przewidzianym terminie, czyli w niedzielę 25 września br., albo w następane dwie niedziele, 2 lub 9 października. Możliwe jest też, że jednocześnie odbędą się wybory prezydenckie i referendum w sprawie przyjęcia projektu Europejskiej Konstytucji, choć słychać również głosy, że referendum będzie przeniesione na rok następny.

Dziś miał też podać się do dymisji liczący sobie już rok rząd Marka Belki, ale do tego nie doszło i dziennik wieczorny warszawskiej TV Polonia, który oglądam pięć razy w tygodniu o 13:30, nie podał przyczyn dla których do tego nie doszło. Z kolejnych wiadomości dziennika można przypuszczać jednak, że przyczyną tego było nagłe zjawienie się izraelskiego premiera Ariela Sharona w Oświęcimiu-Brzezince, któremu właśnie towarzyszył Belka.

A tak na marginesie tego wydarzenia, to nie mogę powstrzymać się od kilku cierpkich uwag na ten temat.

Otóż, od 1988 r., w Oświęcimiu-Brzezince odbywają się „marsze żywych” - March of the Living International - organizowane przez ministerstwo oświaty Izraela i światową organizację żydowską. W dzisiejszym, 14-tym z kolei takim marszu, gdyż od 1996 r. odbywają się one corocznie w Dzień Pamięci Ofiar Zagłady, *Jom Ha-Shoah*, udział wzięło ok. 20,000 uczestników z 50 krajów. Z reguły są to niemal wyłącznie Żydzi, aczkolwiek w marszach nie brak również Polaków, głównie młodzieży szkolnej. Zawsze też z tej okazji w towarzyszących marszowi uroczystościach, biorą udział władze III RP na wysokim szczeblu. Marsz rozpoczyna się spod słynnej bramy z napisem „ARBEIT MACHT FREI” w b. *Konzentrationslager Auschwitz* i 3-kilometrową trasą podąża do następnego w kompleksie obozu, *Auschwitz II-Birkenau*.

Pochód, często z izraelskim premierem na czele, tonie w morzu flag z Gwiazdą Dawida, co podchwytyją stacje telewizyjne z całego świata, głównie amerykańskie, które przy okazji przeprowadzają wywiady z b. więźniami kompleksu b. oświęcimskich obozów (istniały 3 „obozy macierzyste” i 45 podobozów), niemal wyłącznie żydowskimi.

Najgorsze, że ani słowem nie wspomina się o tym, że oświęcimski obóz, zanim rozrósł się w obozowy kompleks, początkowo był przeznaczony *wyłącznie* dla Polaków. Dla nich to bowiem, decyzją szefa SS, Gestapo i policji III Rzeszy Heinricha Himmlera z 27 kwietnia 1940 r., obóz był *specjalnie* stworzony i pierwsze transporty z więźniami polskimi przybyły na miejsce już 14 czerwca tegoż roku. Prawda, obóz oświęcimski, po jego rozbudowie, zwłaszcza z jego częścią Brzezinką-Birkenau, od 1942 r. służył za główne miejsce zagłady Żydów z całej Europy, przede wszystkim z Węgier i Czechosłowacji. W efekcie tego prawdą jest, że na osadzonych w „kompleksie” 1,3 mln więźniów, 1,1 mln stanowili Żydzi, z czego ok. 0,9 mln poniosło śmierć. Polaków zginęło ok. 75 tys., Cyganów ok. 21 tys. i jeńców radzieckich ok. 15 tys.

Tego jednakże na ogół nie wspomina się i powstaje wrażenie, że w kompleksie ginęli tylko Żydzi, a ponieważ był on jeszcze „w Polsce”, jako że o okupowaniu jej przez Niemcy w czasie II wojny światowej też niemal nie wspomina się, więc cała impreza „Marszu Żywych” zakrawa na antypolską hecę i aż dziw bierze, że aktywny udział biorą w niej jeszcze władze III RP!

A propos, dziś właśnie przeczytałem informację amerykańskiej stacji telewizyjnej FOX, że w szkołach izraelskich dopiero teraz uczy się, że... nie Polacy byli „głównymi” mordercami Żydów tylko hitlerowscy Niemcy! A więc nie „głównym”, ale zaraz tuż po Niemcach, jak to wynikałoby z tej informacji!

Dziś, w piątek 6 maja, premier Marek Belka, zgodnie z wcześniejszymi zapowiedziami, podał swój rząd do dymisji, ale już od dłuższego czasu było wiadomo, że prezydent Aleksander Kwaśniewski jej nie przyjmie, głównie z powodu rozpoczynającej się 16 maja w Warszawie sesji Rady Europy. Byłoby przecież „niezgrabnie”, gdyby odbywała się ona w kraju ogarniętym kryzysem rządowym.

Tak też stało się i Kwaśniewski dymisji rządu Belki nie przyjął, o czym zresztą powiadomił Belkę już oficjalnie trzy dni wcześniej w czasie spotkania w Pałacu Namiestnikowskim.

Belka więc, jeśli jakimś cudem Sejm nie pozbawi go premierostwa, pozostanie na swoim stanowisku do powołania przez nowy Sejm rządu, rekrutującego się spośród zwycięskich partii w jesiennych wyborach.

Rząd Belki, który nie ma złych notowań w opinii publicznej, choć sam Belka ze względu na swój styl bycia jest bardzo niepopularny, będzie zatem na swoim stanowisku jeszcze przez około pięć miesięcy. Paradoksem tego stanu rzeczy będzie jednak to, jeśli sprawdzą się przepowiednie, że Belka, który swoje premierostwo zawdzięcza Sojuszowi Lewicy Demokratycznej, którego jest członkiem, opuści jego szeregi i przystąpi do nowotworzonej Partii Demokratycznej, deklarującej swoją opozycję wobec SLD. Gdyby do tego doszło, to powstałby nieprawdopodobny mętlik. Opozycja bowiem, nadal nie przestając nią być, miałaby swojego premiera! SLD w tej sytuacji powinien wyrazić wotum nieufności w stosunku do „zdrajcy Belki”, ale wątpliwe, że to uczyni.

W III RP tak się bowiem wszystko „zapętlilo”, że już w niczym nie można się połapać.

Tym niemniej wygląda na to, że rząd Belki przetrwa do jesieni. Gdyby jednak obecna koniunktura gospodarcza uległa gwałtownemu pogorszeniu się, co jest bardzo możliwe, to wtedy

polska scena polityczna „zakręci się” i rząd Belki może nawet nie dotrzeć do jesiennych wyborów.

Jakkolwiek nie będzie, trzeba uzbroić się w cierpliwość i poczekać co pokaże najbliższa przyszłość.

9 maja 2005 r.

W dniu dzisiejszym, w poniedziałek 9 maja, dniu nieco chłodnym jak na Północną Wirginię o tej porze roku, ale za to słonecznym i pogodnym w Moskwie, doszło do oczekiwanego i kontrowersyjnego wydarzenia, nad którym warto zatrzymać się nieco dłużej właśnie ze względu na jego kontrowersyjność.

Poranny dziennik telewizyjny ABC opatrzył to wydarzenie, transmitując migawki z Placu Czerwonego w Moskwie, gdzie parę godzin temu odbyły się uroczystości z okazji 60 rocznicy zakończenia II wojny światowej w Europie, zdawkowym jedynie komentarzem. Pewnie i tego nie uczyniłby, gdyby nie fakt uczestniczenia w uroczystościach prezydenta George W. Busha z małżonką i 56 innych delegacji państwowo-rządowych, wliczając do nich także Sekretarza Generalnego ONZ, Dyrektora Generalnego UNESCO oraz przewodniczącego Komisji Unii Europejskiej. Na moskiewskie uroczystości personalne zaproszenie dostał również gen. Wojciech Jaruzelski, jako b. prezydent PRL/III RP, jak też Michał I, rumuński król w latach 1940-1947.

O godz. 13:00 zasiadłem więc przed telewizorem, żeby obejrzeć moskiewski dziennik telewizyjny „Russkij Mir”, gdyż spodziewałem się zobaczyć coś więcej z moskiewskich uroczystości niż w ABC. Niestety, w dniu tym, bez żadnego wyjaśnienia, dziennika nie było, a w zamian nadano kilka oklepanych i od lat wyśpiewywanych rosyjskich piosenek współczesnych, których nie da się słuchać, a jeszcze bardziej oglądać.

W tej sytuacji, czekając z kolei na półgodzinny warszawski dziennik „TV Polonia”, nadawany przez pięć dni w tygodniu o godz. 13:30, w pamięci stanął mi obraz sprzed sześćdziesięciu lat.

W dniu tym, a byłem wtedy uczniem I klasy Gimnazjum Ogólnokształcącego w Końskich, do którego poszedłem w końcu lutego 1945 r., w miesiąc po wyzwoleniu (albo „wyzwoleniu”, jak to uważa wielu, jeśli nie większość, Polaków), mieliśmy akurat lekcję matematyki z p. Niedźwieckim, świetnym i nobliwie wyglądającym nauczycielem.

I oto raptem zawyły syreny trzech koneckich zakładów odlewniczych, a zawtórowały im na dodatek dzwony zabytkowego kościoła.

- *Koniec wojny!* - zdejmując okulary, wykrzyknął wyraźnie wzruszony p. Niedźwiecki.

I rzeczywiście. Wkrótce rozległ się dzwonek szkolny, choć tym razem nie na przerwę, ale na ogłaszana przez woźnego zbiórkę przed gimnazjum, skąd miał za chwilę wyruszyć pochód do odległego o kilometr kościoła. Starsze klasy, z niektórymi chłopakami w „oficerkach”, jako że jeszcze kilka miesięcy temu byli partyzantami, ustawiły się za gronem profesorskim, z sędziwym dyrektorem Józefem Lambertem na czele, a za nimi ustawiły się kolejne według starszeństwa klasy.

Pochód ruszył, a z szeregów wzbila się w górę popularna wtedy pieśń „Marsz, marsz Polonia!”, a potem inne żołnierskie i partyzanckie piosenki. Do kościoła ściągnęły też załogi zakładów przemysłowych, urzędnicy magistratu i starostwa, a nawet milicjanci oraz złej już sławy UB-owcy.

Koniec wojny z Niemcami wcale mnie nie zaskoczył, gdyż wcześniej czy później był on już oczywisty nawet dla piętnastoletnich chłopaków takich jak ja. Z gazet przynoszonych przez ojca z pracy wiedziałem przecież jak wyglądała sytuacja na dalekich od Końskich frontach. A kiedy Armia Czerwona oraz Wojsko Polskie zaczęły szturmować Berlin i Hitler popełnił samobójstwo, to los wojny był już przesądzony. Prawda, ludzie coś szeptali, iż po pokonaniu Niemiec będzie nowa wojna, gdyż jeśli Armia Czerwona nie wyjdzie dobrowolnie z Polski, to przepędzą ją Amerykanie z Anglikami. Nowej wojny nie bano się, a nawet wielu wyczekiwało jej, ale teraz wszyscy cieszyli się z końca II wojny światowej, najkrwawszej dotąd w dziejach.

A wracając do przerwane go tematu, czyli do rocznicowych uroczystości w Moskwie, wokół których było sporo „szumu” w kraju i wśród Polonii. Chodziło mianowicie o to, czy

prezydent III RP Aleksander Kwaśniewski powinien jechać do Moskwy czy nie.

Wypowiadając się na ten temat w polonijnym radio uważałem, że powinien. Polska, przynajmniej formalnie, wyszła z wojny zwycięsko, a że politycznie ją przegrała, choć też nie całkowicie, to już co innego. Jako czwarta największa militarnie siła w koalicji Narodów Zjednoczonych, Polska - twierdziłem - nie powinna bojkotować moskiewskich uroczystości. Skoro amerykański prezydent i inni szefowie zachodnich państw i rządów uroczystości nie zbojkotowali, to polski bojkot nie miałby sensu.

Co się zaś tyczy samych uroczystości, to z czysto historycznego punktu widzenia były swoistym dziwologiem.

Zachód bowiem, zarówno b. koalicja Narodów Zjednoczonych, w tym również III RP, jak i b. państwa Osi, rocznicę zakończenia II wojny światowej w Europie obchodzą 8 maja. Czynią to zawsze bez wielkiej pompy, ale tak czy inaczej ją obchodzą.

Rosja i inne kraje Wspólnoty Niepodległych Państw z kolei, podobnie jak ongiś ZSRR, rocznicę świętują, jako „Dzień Zwycięstwa”, nie 8-go, ale 9 maja. Rocznicą ta jest obchodzona niezwykle uroczysto co dziesięć lat.

W tym roku, z inicjatywy rosyjskiego prezydenta Władimira Putina, uroczystości miały nosić charakter szczególnie podniosły. Poza wspomnianym już amerykańskim prezydentem Bushem, gośćmi w Moskwie byli między innymi również prezydenci Francji, Chin, III RP, Izraela (który nie istniał w dniu zakończenia wojny), kanclerz Niemiec oraz premierzy Japonii i Włoch. Nie było jednak premiera Wielkiej Brytanii, a jedynie wicepremier. Poza gruzińskim, w Moskwie byli również prezydenci dziesięciu nierosyjskich członków Wspólnoty Niepodległych Państw, tworu istniejącego na miejscu b. ZSRR. Odmówili natomiast przyjęcia zaproszenia do Moskwy prezydenci b. radzieckich republik Litwy i Estonii, ale nie Łotwy.

Odnosnie zaś świętowania w dwóch różnych dniach zakończenia II wojny światowej w Europie, to przyczyn tego należy doszukiwać się w wielce złożonych stosunkach wewnątrz wojennej koalicji Narodów Zjednoczonych, głównie w łonie zwycięskiej Wielkiej Trójki, o czym dziś mało kto już mówi. A szkoda, stąd przecież wziął się wkrótce po zakończeniu II wojny

światowej początek „zimnej wojny”, a i dziś problemy na linii Rosja-USA, dwóch nuklearnych supermocarstw, są dalekie od normalnych.

Formalnie, dwie daty zakończenia wojny w Europie biorą się stąd, że jej finałem był akt *bezwarunkowej* kapitulacji Niemiec. Czy pod koniec pierwszej dekady maja 1945 r. była ona konieczna, jest kwestią dyskusji. Wojna w czasie kapitulowania Niemiec była dla nich już *całkowicie* przegrana. Dalszy ich opór był nie tylko bez sensu, ale nawet niemożliwy. Prawdą jest jednakże, że Niemcy, orientując się w swojej beznadziejnej sytuacji, czepiali się każdej okazji, żeby skłócić ze sobą Wielką Trójkę. Na Froncie Wschodnim stawiali zacięty opór, ale na Zachodnim zaczęli się masowo poddawać.

W efekcie tego, w końcowych dniach wojny powstała paradoksalna sytuacja. Armia Czerwona zdobyła Berlin i kawał Niemiec, ale *nikt* ze ścisłego kierownictwa hitlerowskiego ani nie poddał się jej, ani nie był wzięty do niewoli. Tymczasem zaś, jeśli tylko nie popełniali w ostatniej chwili samobójstwa, czołowi hitlerowcy wpadali masowo w ręce Amerykanów i Anglików. Część zaś tego kierownictwa, pozostająca jeszcze chwilowo na wolności, zaczęła proponować zachodnim Aliantom *bezwarunkową* kapitulację.

Konkretnie mówiąc, adm. Karl Dönitz, b. dowódca marynarki wojennej III Rzeszy, a od śmierci Hitlera jego następcą, utworzył nowy rząd i po przeniesieniu jego siedziby z Berlina do Flensburga, wysłał 2 maja 1945 r. adm. Hansa von Friedeburga do brytyjskiego marsz. Bernarda L. Montgomery’ego z propozycją niemieckiej kapitulacji przed zachodnimi Aliantami, ale *nie* Armią Czerwoną. Montgomery propozycję odrzucił, żądając bezwarunkowej kapitulacji Niemiec na *wszystkich* frontach. W tej sytuacji Dönitz, w okolicznościach ciągle niezbyt jasnych, posłał wtedy 3-osobową delegację z adm. Friedeburgiem na czele do francuskiego miasta Reims w pobliżu Paryża, gdzie mieściła się SHAEF, Kwatera Główna Alianckich Sił Ekspedycyjnych i siedziba ich wodza naczelnego, gen. Dwighta Eisenhowera. Delegacja przybyła do Reims 6 maja i następnego dnia po północy, o godz. 2:41, podpisała akt kapitulacyjny. Wydarzenie - prawdę mówiąc - było ze wszech miar udziwnione. Po stronie niemieckiej, aczkolwiek nieformalnie, główną osobistością był feldmarszałek Alfred Jodl, szef oddziału operacyjnego Sztabu

Generalnego i doradca Hitlera w sprawach wojskowych, trzecia po nim osoba w hierarchii wojskowej III Rzeszy. Po stronie alianckiej z kolei, w rozmowach z Niemcami, bardzo krótkich i zdawkowych zresztą, udział wzięło pięciu generałów i admirałów (dwaj brytyjscy, dwaj amerykańscy i jeden francuski), a towarzyszyli im dwaj generałowie radzieccy z misji łącznikowej przy SHAEF.

Gen. Eisenhower i jego zastępca, brytyjski marszałek lotnictwa Arthur Tedder, byli *nieobecni* przy podpisywaniu kapitulacyjnego aktu.

Po trwającej tylko cztery minuty ceremonii kapitulacyjnej, podczas której zaznaczono, że Niemcy kapitulują *zarówno* przed wodzem naczelnym SHAEF, jak i dowództwem naczelnym Armii Czerwonej, delegację niemiecką zaprowadzono do siedziby Eisenhowera, który zapytał Jodla, czy rozumie dokładnie co przed chwilą podpisał. Słyszając potwierdzającą odpowiedź, Eisenhower poinformował Jodla, że czyni go osobiście odpowiedzialnym za skrupulatne wykonanie warunków kapitulacji. Zaznaczył też, że Niemcy czeka jeszcze kapitulacja przed dowództwem Armii Czerwonej w Berlinie, które *ratyfikuje* jednocześnie akt kapitulacyjny z Reims.

W ten sposób, kapitulacja Niemiec w Reims była jakby „wstępną”, podczas gdy „ostateczna” miała nastąpić dopiero w Berlinie.

Nie czekając na „berlińską kapitulację” Niemiec, prezydent Truman i premier Churchill jednakże, dzień 8 maja 1945 r. ogłosili *V-E Day*, dniem końca wojny w Europie, choć na Froncie Zachodnim, na wyspach greckich, sporadyczne walki trwały do 12 maja, a na Froncie Wschodnim, w Czechosłowacji (i to na większą skalę) trwały do 13 maja 1945 r.

W każdym razie, dzień 8 maja koalicjanci Narodów Zjednoczonych, a teraz także III RP, gdyż za czasów PRL było inaczej, uznają za koniec II wojny światowej w Europie.

ZSRR natomiast, podobnie jak inne kraje b. „wspólnoty socjalistycznej”, a teraz Rosja i pozostałe kraje WNP, za Dzień Zwycięstwa i koniec II wojny światowej w Europie uznają 9 maja,

Wynikło to stąd, że bezwarunkowa kapitulacja Niemiec przed Armią Czerwoną w

Berlinie, w b. uczelni wojskowej w Karlhorst, odbyła się w dość szczególnych okolicznościach. Mistrzem „kapitulacyjnej ceremonii” był zastępca wodza naczelnego Armii Czerwonej i dowódca I Frontu Białoruskiego marsz. Gieorgij Żukow. W kapitulacyjnej ceremonii uczestniczyli też wspomniany powyżej brytyjski marsz. Tedder, zastępca gen. Eisenhowera w SHAEF, amerykański generał Carl A. Spaatz, oraz francuski gen. Jean de Lattre de Tassigny. Stronę niemiecką, dowieszoną do Berlina pod brytyjską eskortą z aresztu, reprezentowali natomiast feldmarszałek Wilhelm Keitel, w czasie wojny zastępca wodza naczelnego, najpierw Hitlera, a potem Dönitza. Towarzyszyli mu wspomniany już adm. Friedeburg oraz gen. Hans Stumpf, dowódca *Luftwaffe*.

Akt kapitulacyjny, identyczny w treści jak z Reims, został podpisany 8 maja 1945 r. o godz. 22:43 czasu lokalnego, ale ponieważ w Moskwie była wtedy godzina 0:43, czyli już 9 maja, więc Stalin dzień ten uznał za Dzień Zwycięstwa i koniec II wojny światowej w Europie.

„Dwie daty” tego samego wydarzenia *nie są* jednak przypadkowe. Stalin bowiem, dowiedziawszy się o niemieckich próbach kapitulowania tylko przed zachodnimi Aliantami, zdenerwował się i spowodował, żeby nie tylko do tego nie doszło, ale żeby również dzień 8 maja nie był Dniem Zwycięstwa w Europie dla *wszystkich* koalicjantów. Uważał, nie bez racji zresztą, że kapitulacja Niemiec powinna nastąpić w Berlinie, w miejscu skąd rozpętano II wojnę światową, a *nie* we Francji. Sygnatariuszy aktu z Reims uznał ponadto za zbyt niskich rangą. Stąd Żukowowi, czołowemu radzieckiemu marszałkowi, polecił podpisanie „berlińskiego aktu”. W ten sposób Żukow stał się *najwyższym* rangą sygnatariuszem aktu kapitulacji Niemiec spośród koalicjantów Narodów Zjednoczonych, gdyż „aktu z Reims” Eisenhower, porównywalny stopniem z Żukowem, nie podpisywał.

Alianci zachodni, prawdę mówiąc, mogli tak pokierować sprawami, żeby na nich spadła sława *głównych* zwycięzców w wojnie z Niemcami, ale tego nie uczynili.

Dlaczego?

Po pierwsze, zachodni Alianci nie negowali, że *główną* rolę w pokonaniu Niemiec odegrał ZSRR. Ponad 3/4 poległych i ranionych Niemców na polach walk II wojny światowej,

przypadło bowiem na Front Wschodni. W USA i Wielkiej Brytanii ponadto, opinia publiczna gloryfikowała Armię Czerwoną i odebranie jej palmy pierwszeństwa w pokonaniu Niemiec byłoby źle przyjęte.

Po drugie, zachodni Alianci, USA zwłaszcza, żadnymi sztuczkami z kapitulacją Niemiec nie chciały drażnić ZSRR. W Jałcie przecież, trzy miesiące wcześniej, uzyskały przyrzeczenie Stalina, że wypowie wojnę Japonii w trzy miesiące po pokonaniu Niemiec. A ponieważ USA nie wiedziały jeszcze, że 16 lipca 1945 r. uda się eksperyment z bombą atomową, to przyrzeczenie Stalina było dla nich bardzo cenne. USA obliczały bowiem pokonanie Japonii na półtora roku i stratę 1 miliona żołnierzy, a więc pomoc Armii Czerwonej była dla nich tak istotna. Wraz z Wielką Brytanią chciały więc szybkiego zakończenia wojny w Europie, żeby Stalin dotrzymał przyrzeczenia z Jałty.

Ale jest też druga strona medalu, skoro już dzielę się nachodzącymi mnie refleksjami.

Otóż Niemcy, po śmierci Hitlera, o czym już częściowo wspominałem, zaczęły wyraźnie dawać do zrozumienia zachodnim Aliantom, że gotowe są na kapitulację, ale z *kontynuowaniem* oporu na Froncie Wschodnim. Dawały tym samym do zrozumienia, że liczyły na *wspólną* z zachodnimi Aliantami walkę z wdzierającymi się do Europy wojskami radzieckimi.

Jak wiadomo, tej niepisanej oferty niemieckiej zachodni Alianci nie tylko nie przyjęli, ale w ogóle nie wzięli jej pod uwagę. Czy postąpili słusznie?

Dziś, kiedy już wiadomo jak potoczyły się dzieje w ostatnim sześćdziesięcioleciu, zajęte wówczas stanowisko przez zachodnich Aliantów wydaje się słuszne. Wojsk amerykańskich w tym czasie w Europie było nieco ponad 3 mln, brytyjskich 1,5 mln, a francuskich 0,25 mln. Były one świetnie uzbrojone, ale w wielkich bojach, amerykańskie zwłaszcza, mało doświadczone.

W tym czasie, do Europy wlała się już prawie 13-milionowa i zahartowana w wielkich bojach Armia Czerwona, uzbrojona ponadto *lepiej* od zachodnich Aliantów. W jej posiadaniu było bowiem ponad 300 tys. dział i moździerzy, 37 tys. czołgów i 46 tys. samolotów. Nieznana do dziś była natomiast ilość radzieckich łodzi podwodnych, bardzo istotnych w ewentualnym zwalczaniu konwojów amerykańskich do Europy (prawdopodobnie było ich wiele, gdyż na

początku wojny ZSRR miał ich 260, z czego nawet jeśli część ich stracił, to jednocześnie do służby wchodziły nowe, a ponadto 105 otrzymał w ramach *lend-lease* od zachodnich sojuszników).

Ewentualna więc wojna zachodnich Aliantów z ZSRR już w maju 1945 r., nawet przy częściowym niemieckim wsparciu, wcale *nie była* prostą sprawą. Zwłaszcza, że wojna z Japonią trwała. Sytuacji tej nie zmieniło specjalnie wejście przez USA w posiadanie broni atomowej. W końcu 1945 r. USA miały tylko 6 atomowych bomb grawitacyjnych, podczas gdy dla pokonania ZSRR według szacunków strategów potrzeba ich było aż 400! A nawet i taka ilość nie gwarantowała jeszcze zwycięstwa. Bomby atomowe można było zrzucić *jedynie* z samolotu B-29, dotarcie jego bez eskorty myśliwców do oddalonych celów w ZSRR, który rozporządzał znacznie szybszymi od bombowca myśliwcami, głównie Jak-3, jak też 100-milimetrowymi działami przeciwlotniczymi, było mało prawdopodobne.

Do wojny pomiędzy dawnymi sojusznikami nie doszło więc, a kiedy ZSRR w 1949 r. wszedł w posiadanie broni atomowej i w 4 cztery lata potem wodorowej, to wojna z nim stała się *zbyt ryzykowna* dla USA. Na dowód tego można przytoczyć „kryzys kubański” z jesieni 1962 r., kiedy to USA cofnęły się przed nuklearną wojną z ZSRR.

I ten stan rzeczy jest *nadal* aktualny i to pomimo zniknięcia ZSRR. Rosja bowiem posiada arsenał nuklearny *równy* amerykańskiemu, z tym, że prawdopodobnie nowocześniejszy. Posiada ponadto antyrakietową obronę, której *nie posiadają* USA.

Tak więc, USA i Wielka Brytania, skoro już wzięły udział w II wojnie światowej, to jej rozstrzygnięcia *wyłącznie* na swoją korzyść nie osiągnęły. Pokonały państwa Osi, chociaż w przypadku Niemiec głównie dzięki ZSRR, płacąc jednak za to licznymi *ustępstwami* na jego rzecz.

I kto wie czy na tym koniec...

Ale na tym nie kończą się moje „rocznicowe refleksje”. Wynika to także i stąd, że wybuchowi II wojny światowej, jej znanemu przebiegowi i finałowi, albo raczej półfinałowi, gdyż dalszym jej ciągiem była „zimna wojna”, mam do zawdzięczenia moje obecne losy. Nie

tylko bowiem w pewnym momencie „zimnej wojny” zdecydowałem się opuścić rodzinny kraj, ale mimo jej rzekomego końca *nadal* nie mogę do niego powrócić!

Dlatego też niejednokrotnie rozmyślałam nad początkiem, przebiegiem i finałem II wojny światowej. Spierać się przecież można, czy USA i Wielka Brytania (inni ich sojusznicy mało się w tej wojnie liczyli), byłyby w stanie same pokonać Niemcy, mając jeszcze na głowie wojnę z Japonią i Włochami. Podobnie można spierać się, czy ZSRR, bez wsparcia amerykańsko-brytyjskiego w zaopatrzeniu Armii Czerwonej, od broni, amunicji i ciężarówek zaczynając, a na konserwach mięsnych, butach dla wojska, lekarstwach i maszynach dla przemysłu zbrojeniowego kończąc, wygrałby wojnę. Spór taki zresztą już *niczego* nie wyjaśni. Sprawą o wiele ważniejszą jest natomiast ostateczne wyjaśnienie *wszystkich* okoliczności, które najpierw doprowadziły do wybuchu II wojny światowej, a następnie do znanego jej przebiegu i końca.

Takiego wyjaśnienia, niestety, nie ma *nadal* i po tym co dziś zabrzmiało z Moskwy, nie wiadomo, czy kiedykolwiek będzie. Politycy, zwłaszcza w krajach o decydującym znaczeniu podczas II wojny światowej, nie wykazują *żadnego* zainteresowania w tym kierunku, czego dowodem jest dzisiejsza obecność wielu zachodnich głów państw i rządów na moskiewskich uroczystościach. Historycy zaś ciągle nie mają pełnego dostępu do wojennych archiwów, głównie w Moskwie, a wygląda jakby i oni stracili zainteresowanie dla tego rodzaju badań. Każdy więc będzie miał nadal własny pogląd na II wojnę światową, a nade wszystko w Polsce, od której wzięła ona początek i gdzie jej koniec przeszedł wszelkie wyobrażenia. A ponieważ Polacy, z różnych względów, wiedzę faktologiczną o bardzo złożonym charakterze wojny mają niezwykle ubogą, nie mówiąc już o nadal wysoce emocjonalnym do niej podejściu, więc zamiast znaleźć odpowiedź na gnębiące ich pytania, to stawiają ich jeszcze więcej. Podbiciu ulegną również emocje, które w ostatnich dniach były szczególnie widoczne, kiedy rozgorzała dyskusja wokół zaproszenia Kwaśniewskiego przez Putina do wzięcia udziału w moskiewskich uroczystościach. Powinien je przyjąć czy odrzucić? Pomimo wielu oburzonych głosów ze strony rozproszonej i wzajemnie skłóconej opozycji, w Sejmie, gdzie o tym zażarcie dyskutowano, jakoś dziwnie nawet nie próbowała ona wnieść projektu uchwały, zakazującej Kwaśniewskiemu

wyjazdu do Moskwy!

Powracam jednak do wiedzy Polaków na temat przyczyn wybuchu II wojny światowej, gdzie za główną z nich, zupełnie zresztą trafnie, uważają Pakt Ribbentrop-Mołotow. Co innego jednak ogólna wiedza na ten temat, a co innego szczegółowa. Przekonałem się o tym ponownie po raz któryś z kolei dwa lata temu, spotykając się z różnymi polonijnymi środowiskami w Kalifornii. Na jednym z takich spotkań, w Los Angeles, jeden z weteranów Września, klęskę Polski w 1939 r. przypisał *wyłącznie* Paktowi, w rezultacie którego ZSRR zadał Polsce „nóż w plecy”. Bez tego - twierdził przy poklasku sali - Polska, mając *więcej i lepszej* broni od Niemców, wygrałaby z nimi wojnę! Moje argumenty, że nawet bez „noża w plecy” Polska wojny z Niemcami nie mogła wygrać, nie trafiały sali do przekonania i to pomimo, że w dużej części składała się ona z niedawnych przybyszów z kraju, z których wielu legitymowało się wyższym wykształceniem.

Absolutnie już nie trafiały sali do przekonania racje Stalina odnośnie zawarcia paktu z Hitlerem, choć używane przeze mnie argumenty - jak mogłem zorientować się - słyszano po raz pierwszy. Kontrargumentów nikt nie miał, ale obstawał przy swoim stanowisku! Polska z jednym z napastników - mówiono - mogła wygrać, ale nie z dwoma jednocześnie. Zresztą, nie ma czemu się dziwić, skoro żona Józefa Piłsudskiego, Aleksandra, kobieta przecież światła, w wydanej po angielsku w 1941 r. w Nowym Jorku 352-stronicowej książce pt. „PILSUDSKI” pisze, że z dwoma napastnikami Polska nie mogła wygrać, ale z ZSRR mogła *sama* sobie poradzić! Z Niemcami zaś mogła walczyć osamotniona aż do nadejścia sojuszniczej pomocy (str.49)². Dwa lata po Wrześniu, Piłsudska nie wiedziała, że Polska w starciu z samymi tylko Niemcami nie miała *żadnych* szans na wytrzymanie ich naporu? Nie wiedziała, że polski front obronny uległ rozsypaniu się już w trzecim dniu wojny i że Niemcy uznały kampanię za *strategicznie* wygraną już w piątym dniu jej trwania? Jak w tej sytuacji wyobrażała sobie Polskę samotnie broniącą się aż do nadejścia pomocy z Francji i Anglii, której one *nigdy* zresztą nie planowały?

Aleksandra Piłsudska mogła oczywiście, w 1941 r., wielu faktów z agresji niemiecko-

² Aleksandra Piłsudska: „PILSUDSKI”; Dodd, Mead & Company; New York 1941;

radzieckiej przeciwko Polsce jeszcze nie znać, ale po co wtedy było pisać bzdury? Przecież nawet z tymi radzieckimi oddziałami, które wtargnęły w 1939 r., Polska wygrać wojny nie mogła! Jeśli istotnie były one mniej liczne (ilość atakujących Polskę krasnoarmiejców nie jest dokładnie znana) od 1-milionowego Wojska Polskiego, to górowały nad nim uzbrojeniem, a ponadto miały na zapleczu nieprzebrane ludzkie rezerwy!

Takie poglądy jak p. Piłsudskiej na polskie możliwości wojenne pokutują, niestety, nadal w głowach wielu Polaków. Emocje dominują nad rzetelną wiedzą i w konsekwencji tego przeciętni Polacy nadal żyją w „krajnie czarów”.

A sprawa, skoro Pakt znów rozognił polskie umysły, powinna być dogłębnie przestudiowana. Tym bardziej, że dzisiejsze przemówienie Putina na Placu Czerwonym, podobnie jak inne jego oświadczenia w ostatnich dniach, do tego wręcz zapraszają.

Cztery ich aspekty wypowiedzi Putina wymagają podkreślenia:

1 - Rosja nie zamierza tłumaczyć się z Paktu Ribbentrop-Mołotow, ani tym bardziej nikogo za niego przepraszać. Już raz, jeszcze w czasach ZSRR³, Pakt potępiła i sprawa jest zamknięta;

2 - Rosja nie uważa, że kraje bałtyckie były okupowane przez ZSRR (o Polsce, ani innych krajach Europy Środkowej i Wschodniej nie wspomniał);

3 - Sojuznikami Rosji w czasie wojny były USA, Anglia i Francja, a nawet „niemieccy i włoscy antyfaszyści”, ale *nie* Polacy!

4 - Rosja wreszcie - rzecz najważniejsza dla Polaków - pojednała się z Niemcami, co jest według Putina „jedną z największych zdobyczy powojennej Europy”.

Czyżby więc celem moskiewskich uroczystości było usłyszenie przez świat tego właśnie fragmentu wypowiedzi Putina? Nic innego nie miał już do powiedzenia?

A szkoda. W 60 lat po zakończeniu II wojny światowej w Europie, czas już chyba najwyższy, żeby główny w niej pogromca Niemiec, niewątpliwie ZSRR/Rosja, rozliczył się

³ 24 grudnia 1989 r. Kongres Deputowanych Ludowych podjął w sprawie Paktu uchwałę, uważając go za „niesłuszną i przeciwną narodowym interesom decyzję Stalina”.

wreszcie z ceny, jaką zapłacił za swoje zwycięstwo!

Pod tym względem, niestety, Moskwa znów nie zrobiła dziś *żadnego* kroku naprzód.

Przypomnieć zatem należy *co* dotąd na ten temat mówiła.

Początkowo, jeszcze za życia Stalina, straty ZSRR w wojnie, zarówno wśród personelu wojskowego, jak i ludności cywilnej, podawano jako wynoszące łącznie 5 milionów. Potem je podwyższono do 7 milionów, ale bez specjalnego rozgłosu. Za czasów Chruszczowa straty raptem wzrosły już do ok. 20 milionów, a potem jeszcze o dalsze 6-7 milionów. Gen. armii Mahmut Gariejew na przykład, prezydent Akademii Wojskowych Nauk w Moskwie, w wywiadzie dla „Krasnoj Zwiezdy” z 6 maja br., straty b. ZSRR w wojnie podał na 26,5 mln. Z tego straty w personelu wojskowym wynieść miały prawie 8,7 mln, a wśród ludności cywilnej niemal 18 mln, które - jak to określił - były wynikiem „faszystowskich zbrodni na terenach okupowanych” przez najeźdźców.⁴

Jaka jest więc prawda? Radziecka 833-stronicowa encyklopedia wojenna, „Wielikaja Oteczestwiennaja Wojna 1941-1945”⁵, podaje ogólne straty ludzkie w ZSRR w czasie wojny na 20 mln, bez rozbicia na personel wojskowy i ludność cywilną pod niemiecką okupacją. Straty tej ostatniej podaje *jedynie* w odniesieniu do białoruskiej republiki. Wynoszą one jakoby 2,2 mln, czyli powyżej 1/5 przedwojennej jej ludności. Odnośnie zaś 41-milionowej w 1940 r. republiki ukraińskiej, która podobnie jak białoruska była pod okupacją niemiecką, encyklopedia *nie podaje* strat wśród ludności cywilnej. Nie podaje też strat wśród ludności cywilnej trzech republik bałtyckich, ani też republiki mołdawskiej, które również były pod okupacją niemiecką. Tam jednakże, zwłaszcza w trzech republikach bałtyckich, które Niemcy traktowali jako kraje pół-sojusznicze, terror okupantów wobec lokalnej ludności, poza Żydami, których niemal całkowicie wymordowano, był minimalny (wyjątek stanowili Cyganie i Polacy). Kraje bałtyckie łącznie z republiką mołdawską (częścią Rumunii do wiosny 1940 r.) miały ponadto niewielką ilość mieszkańców, wynoszącą łącznie tylko ok. 8,5 mln.

⁴ „Nam tolko prawda ko dworu”; biesjedu wioł Giennadij Miranowicz;

⁵ „Sowietskaja Encikłopedija”, Moskwa 1985 g.;

Wynikałoby stąd, że główne straty w radzieckiej ludności cywilnej przypadły zatem na republikę ukraińską. Z radzieckich danych statystycznych można to nawet z trudem wydedukować w oparciu o dane demograficzne za okres 1940-1959, ale dokładnych danych na ten temat nie ma!

Jaki stąd płynie wniosek? Chyba tylko taki, że albo wojenne straty ludzkie b. ZSRR są zawyżone, albo są *wyższe* wśród personelu wojskowego od oficjalnie podawanych. Domniemanie takie jest o tyle uzasadnione, że wspomniany gen. Gariejew podaje, iż ilość zmobilizowanych do Armii Czerwonej ludzi w czasie wojny wyniosła 34,4 mln, a w dniu jej zakończenia liczyła ona tylko 12,8 mln oficerów i żołnierzy. Różnica między zmobilizowanymi i tymi, którzy dotrwali do końca wojny, wynosi więc aż 21,6 mln! Nawet zakładając, że część personelu wojskowego z powodu odniesionych ran odeszła ze służby czynnej, a inna jego część nie zdążyła powrócić z niewoli, to i tak *kilka* milionów czerwonoarmistów gdzieś „wyparowało”! Jest to o tyle zastanawiające, że Gariejew polemizuje z bliżej nieznanymi historykami rosyjskimi, którzy łączne straty ZSRR w ludziach w czasie wojny szacują na 43 mln, z czego na personel wojskowy miałyby przypadać aż 26 mln!

Prawda na temat strat ludzkich ZSRR w czasie wojny, zarówno wśród personelu wojskowego jak i ludności cywilnej, jest więc *nadal* nieznana. Jeśli nawet wierzyć Gariejewowi, że „faszystowski blok” w walce z ZSRR stracił 9,3 mln wojskowego personelu, z czego Niemcy 7,7 mln, a Japonia 0,7 mln, to przy założeniu wyższych od oficjalnie podawanych strat Armii Czerwonej, zwycięstwo jej zostało okupione *niezwykle* dużym upustem krwi. Biorąc pod uwagę nie gorsze uzbrojenie Armii Czerwonej od armii jej przeciwników, a od połowy 1943 r. nawet lepsze, to „występ” jej na polu walki *nie jest* zatem powodem do dumy! Ba, ktoś za to morze krwi był przecież odpowiedzialny!

Ale kto? Stalin? Gdzież tam! W organie armii rosyjskiej „Krasnaja Zwiezda”, o niezmienionej nazwie i szacie graficznej od czasów ZSRR, ukazał się, ze zdjęciem Stalina, redakcyjny artykuł świadczący o czymś wręcz przeciwnym!⁶ Dowodzi on, że Stalin był

⁶ „Gieneralissimus”, Moskwa, 7 maja 2005 g.;

największym wodzem w historii! Zamiast więc doszukiwać się przyczyn wielu gigantycznych klęsk ZSRR, zwłaszcza w pierwszym etapie wojny z Niemcami, a i potem, pomimo przejęcia inicjatywy strategicznej przez Armię Czerwoną i jej wszechstronnej przewagi nad Wehrmachtem, straty miał on stanowczo za wysokie, ale widzi się tylko *końcowy* efekt starcia!

Jeśli tak, to jest to *złowieszcza* wiadomość dla świata. Rosja bowiem, podobnie jak ongiś ZSRR, będąc nadal supermocarstwem nuklearnym i mając tak zakłamany stosunek do najkrwawszej z kart w swojej historii wojny, może przecież *łatwo* pójść na następną!

Nie spekulując co może przynieść bliższa lub dalsza przyszłość, powracam znów do wypowiedzi Putina na temat Paktu Ribbentrop-Mołotow, w której uznał sprawę za zamkniętą.

O tym, że Pakt przyczynił się do wybuchu II wojny światowej i klęski Polski - wiadomo.

Dlaczego zaś Stalin poszedł na pakt z Hitlerem, też już wiele wiadomo, ale daleko nie wszystko. A Stalin, idąc na ten pakt, miał patrząc z jego punktu widzenia *uzasadnione* racje.

Na Dalekim Wschodzie mianowicie, poczynając od 1932 r., od kiedy Japonia w mandzurskiej części Chin utworzyła marionetkowe cesarstwo Mandżukuo, trwały przygraniczne starcia japońsko-radzieckie. Japonia nie ukrywała też, że za swojego wroga Nr. 1 uważała ZSRR. A kiedy jeszcze 25 listopada 1935 r. wraz z hitlerowskimi Niemcami podpisała Antykominternowski Pakt, wyraźnie swoim ostrzem skierowany przeciwko ZSRR, to Stalin miał niewątpliwie powód do obaw. Zwłaszcza, że w 1937 r. przystąpiły do niego jeszcze Włochy.

Mając zatem perspektywę wojny na dwa fronty i nie mając wątpliwości, że Anglii i Francji, podobnie jak trwającym w izolacjonizmie USA, wojna taka byłaby na rękę, Stalin zaczął szukać wyjścia z tej groźnej dla ZSRR sytuacji. Zaostrzyła się ona dodatkowo po tym jak nie dopuszczono ZSRR do układu monachijskiego z końca września 1938 r., zawartego pomiędzy Anglią i Francją z jednej strony, a Niemcami i Włochami z drugiej, w wyniku którego zmuszono Czechosłowację do ustępstw na rzecz Niemiec. Dla Stalina cel tego był jasny. Hitlerowi dano „zielone światło” do marszu na wschód, przez Polskę. Chyba, że przystąpiłaby ona do Paktu Antykominternowskiego i poszła na inne jeszcze ustępstwa wobec Niemiec, stając się faktycznie ich satelitą, co byłoby bardzo złą nowiną dla ZSRR. Należy też przypuszczać, że Stalin mógł

wiedzieć o przedstawieniu propozycji 24 października 1938 r. przez Joachima von Ribbentropa, szefa dyplomacji III Rzeszy, Józefowi Lipskiemu, polskiemu ambasadorowi w Berlinie, które sprowadzały się do zawarcia sojuszu pomiędzy Berlinem a Warszawą. Ale Stalin mógł też wiedzieć, iż szef dyplomacji polskiej Józef Beck zlekceważył sobie propozycje Ribbentropa, nawet nie informując o nich prezydenta Mościckiego i marszałka Rydza-Śmigłego. Tak samo jak mógł wiedzieć, że spotkanie Hitler-Beck na początku stycznia 1939 r., jak też wkrótce potem złożona przez Ribbentropa wizyta w Warszawie, przekreśliły ostatecznie próby Niemiec wciągnięcia Polski do sojuszu z nimi.

Cokolwiek nie myślał o niebezpiecznym dla ZSRR rozwoju sytuacji, Stalin postanowił zagrać *va banque* i 10 marca 1939 r., w swoim przemówieniu na XVIII zjeździe partii bolszewickiej, zaferował Niemcom niedwuznacznie wzajemne zbliżenie, jeśli wręcz nie sojusz. Hitler w lot zrozumiał „aluzję” (ale nie Polska, czy też Anglia z Francją). Czy może tym właśnie powodowany, Hitler natychmiast wyciągnął z tej nowej sytuacji praktyczne wnioski i 15 marca 1939 r. posłał Wehrmacht do Pragi, kładąc tym samym kres istnieniu Czechosłowacji, jako że jednocześnie oderwała się od niej Słowacja, która stała się satelitą Niemiec. W tydzień później Niemcy zajęły też nagle Kłajpedę, litewski port nad Bałtykiem. Kroki te zaalarmowały z kolei Polskę, która potajemnie podjęła pewne kroki obronne. Zaniepokojone rozwojem sytuacji Anglia i Francja również podjęły pewne kroki zaradcze, głównie obliczone na podtrzymanie Polski na duchu, żeby aby tylko nie uległa naciskom Niemiec i nie przeszła na ich stronę. Z Francją sprawa była względnie prosta, gdyż od 1921 r. miała z Polską sojusz wojskowy, ale Anglia, którą do tej pory Polska nie interesowała, było inaczej. Stąd, 31 marca 1939 r., na razie tylko słownie, udzieliła Polsce gwarancji zewnętrznego bezpieczeństwa, ale tylko od strony Niemiec.

Dla Stalina wszystkie te wydarzenia były sygnałem, zwłaszcza że Anglia z Francją zaczęły szukać z nim antyniemieckiego zbliżenia, iż nadszedł czas na ostateczne rozegranie partii w czworoboku Niemcy-Anglia-Francja-ZSRR.

Odtąd zaczęły się dziać przedziwne rzeczy. Stalin, mając do wyboru niepewny sojusz z Anglią i Francją, nie mówiąc już o żadnym sojuszu z bardzo istotną w grze Polską, a z drugiej

strony perspektywę choćby krótkotrwałego sojuszu z Niemcami, którego skutkiem byłby nowy rozbiór Polski, wybrał ten ostatni.

Po pierwsze, likwidował w ten sposób możliwość wojny na dwa fronty. W momencie bowiem podpisywania Paktu Ribbentrop-Mołotow, Armia Czerwona na granicy mongolsko-mandżurskiej, prowadziła od 20 sierpnia boje z armią japońską, największe w historii od końca I wojny światowej i do tego czasu największe, jeżeli chodzi o zaangażowanie broni pancernej i lotnictwa. Hitler, idąc na pakt ze Stalinem, o czym nie uprzedził Japończyków, rozzłościł ich do tego stopnia, że swój antyradziecki sojusz z Niemcami uznali nie tylko za *de facto* nieważny, ale jeszcze poszli na zbliżenie z ZSRR (było to także rezultatem olbrzymiej klęski, jaką Japończycy ponieśli w 5-dniowym boju z Armią Czerwoną).

Ten fakt *najprawdopodobniej* wpłynął następnie na wynik II wojny światowej. Japonia bowiem nie tylko nie wsparła uderzenia Niemiec na ZSRR, chroniąc tym Stalina od wojny na dwa fronty, którą mógł wtedy przegrać. W dodatku uderzając w grudniu 1941 r. na USA *pogrzebała* Hitlera. Dotrzymując bowiem zobowiązań sojuszniczych, Hitler *niepotrzebnie* wypowiedział wojnę USA, czyniąc je tym samym *sojusznikiem* ZSRR, co pociągnęło za sobą aż nadto znane skutki.

Po drugie, Stalin idąc wspólnie z Niemcami na IV rozbiór Polski, nie tylko odbierał jej ziemie, które uważał za swoje, ale odsuwał o 250-350 km na zachód możliwą styczność z Niemcami, co wraz z pochłonięciem wkrótce krajów bałtyckich, uratowało Leningrad i Moskwę przed zajęciem ich przez Wehrmacht jesienią 1941 r. Gdyby do tego zajęcia doszło, to kto wie, czy ZSRR nie przegrałby wtedy wojny z Niemcami.

Po trzecie wreszcie, pozostawiał Anglię i Francję w rozpoczętej wojnie z Niemcami.

W sumie więc, Pakt z Hitlerem był dla Stalina *niezwykle* korzystny z jego punktu widzenia, o wiele korzystniejszy od sojuszu z Anglią i Francją.

O ile pod tym względem można jeszcze zrozumieć racje Stalina, to z kolei jego niezwykle wrogi stosunek do Polski, „bękarta Traktatu Wersalskiego”, jak ją w październiku 1939 r. nazwał radziecki premier i minister spraw zagranicznych Wiaczesław Mołotow, jest już

absolutnie niezrozumiały. Podobnie jak powszechnie uważana pewność Stalina, że Niemcy obu Paktów, z 23 sierpnia i 28 września 1939 r., nie pogwałcą i nie zaatakują ZSRR zniemacka (choć ostatnio ukazały się w Moskwie informacje, w świetle których sprawa tej pewności Stalina jawi się inaczej).

Co się zaś tyczy wrogości Stalina w odniesieniu do Polski, to żadne nowe informacje *niczego* nie zmieniają w ukształtowanym od dziesięcioleci jej obrazie. Przecież doskonale wiedział on, że próby Niemiec skaptowania Polski na swoją stronę załamały się, czego dowodem było choćby wystąpienie Becka w Sejmie 5 maja 1939 r. A co byłoby, gdyby próby Niemiec powiodły się? Przecież wtedy ZSRR wojnę z Niemcami przegrałby! Niemcy z Japonią i Włochami, mając jeszcze u boku Finlandię, kraje bałtyckie, Rumunię, Węgry, Słowację, a nade wszystko Polskę, a może także Turcję, przy cichym poparciu Francji i Anglii, z neutralnymi USA, pokonałby przecież ZSRR! Z Armią Czerwoną, osłabioną krwawymi czystkami w korpusie oficerskim i ze zdezorganizowanym przez nie przemysłem zbrojeniowym, ZSRR *nie wytrzymałby* niemiecko-koalicyjnego uderzenia. Że tak właśnie mogłoby być, świadczyła rozpętana przez ZSRR wojna z Finlandią. Trwająca od 30 listopada 1939 r. do 12 marca 1940 r., wojna wykazała *zadziwiająco* nieudolność Armii Czerwonej do prowadzenia operacji bojowych. Jej straty w ludziach, mimo ogromnej przewagi, były prawie 3-krotnie większe od fińskich. Armia Czerwona poniosła również dotkliwe straty w czołgach oraz samolotach i to w sytuacji, kiedy przeciwnik miał ich wielokrotnie mniej. Wojnę w końcu wygrała Armia Czerwona, co przy dysproporcji sił było do przewidzenia, ale jakżeż ogromnym kosztem!

Trudno więc uwierzyć, że Stalin nie wiedział, ile miał do zawdzięczenia Polakom, którzy swoją postawą skomplikowali Hitlerowi jego plany. A skoro już poszedł na pakt z nim i wkroczył do ciągle jeszcze walczącej z agresją niemiecką Polski, to dlaczego krok ten potraktował jako wojnę? Polaków na zajmowanych terenach mógł przecież potraktować jako swoich „cichych sojuszników” w przyszłej wojnie z Niemcami, o nieuchronności której był jakoby przeświadczony, a *nie* jako wrogów! Nie docenił też, że Polacy nie wypowiedzieli wojny ZSRR po jego agresji 17 września, czym uchronili go od komplikacji międzynarodowych.

Stalin, niestety, nie tylko nie docenił wielkodusznego stanowiska Polaków w odpowiedzi na jego agresję, ale potraktował ich *gorzej* od wszystkich innych, z którymi już wkrótce przyszło mu wojować! Niemieckich oficerów, dostających się do radzieckiej niewoli po czerwcu 1941 r., nie częstował kulą w kark, tak jak polskich, którzy z Armią Czerwoną, poza sporadycznymi wyjątkami, przecież nie wojowali! Czym też wytłumaczyć jego nienawiść do cywilnej ludności polskiej na okupowanych przez jego wojska terenach? Czy musiał ją masowo więzić, posyłać do łagrów i deportować w głąb ZSRR o głodzie i chłodzie, dziesiątkując ją po drodze, a potem jeszcze w miejscach jej przymusowego osiedlenia? Czy musiał też rozkazywać NKWD, żeby wspólnie z Gestapo głowiło się nad wyborem najskuteczniejszych metod mordowania Polaków?

Nie Stalin jednak zmusza mnie do największych refleksji, ale przywódcy II RP.

Dlaczego nie przewidzieli Paktu Ribbentrop-Mołotow? Bułgarski premier go przewidywał jeszcze w grudniu 1938 r., a II RP nie?

Dlaczego też nie próbowano prowadzić z Niemcami gry na zwłokę i dlaczego tak naiwnie wierzone w wywiązanie się przez Francję i Anglię z zobowiązań sojuszniczych? Przecież za polskimi plecami próbowały się one porozumiewać z Niemcami! O tym Polska mogła nie wiedzieć, ale czegoś podobnego *nie powinna* była z góry wykluczać! Dlaczego też nikt nie próbował „rozgryźć” słów Piłsudskiego, który w marcu 1934 r. proroczo przepowiadał „pięcioletnie zacisze”, które w 1939 r. dobiegało właśnie końca? Co miało być potem, Piłsudski nie powiedział, ale co myśleli o tych prorocznych słowach Mościcki, Śmigły-Rydz i Beck? Nic nie myśleli?

Przywódcy II RP może nie powinni byli iść aż tak daleko, jak to piętnaście lat temu napisał znany polski historyk prof. Jerzy Łojek, iż „z perspektywy historycznej jest oczywiste, że lepiej było wtedy uderzyć na ZSRR w sojuszu z Niemcami niż doczekać się w końcu (i rychło) wspólnego uderzenia na Polskę Niemiec i ZSRR”⁷. Ale czy takiej opcji nie powinni byli wziąć pod uwagę?

W tym miejscu nie mogę nie wspomnieć o epizodzie, jaki miał miejsce po uzyskaniu

⁷ Jerzy Łojek: „Agresja 17 września 1939 r.”, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1990; str. 16;

przeze mnie azylu politycznego w USA. Występując wtedy wielokrotnie przed środkami masowego przekazu i różnymi gremiami, w czasie wystąpienia przed oficerami w jednej z amerykańskich baz wojskowych, po mowie, w której zebranych przedstawiłem beznadziejną sytuację Polski ze względu na radziecką obecność na jej terytorium i wokół niej, rozmawiałem potem na boku z wieloma oficerami. Zauważyłem też wśród nich pułkownika zachodnioniemieckiej Bundeswehry, uważnie słuchającego mnie. W pewnym momencie zapytał on po niemiecku, czy może ze mną w tym języku rozmawiać, a słysząc moje potwierdzenie tak oto powiedział:

- *Gdybyście kiedyś poszli z nami, to dziś nie mielibyście tych kłopotów.*

Przyznam, że nieraz myślę o tym, co wtedy usłyszałem. Dziś, kiedy już wiadomo jak sprawy potoczyły się po 1939 r., może i lepiej było, tak jak było. Polska jakoś przetrwała wojnę i wyszła z niej o wiele lepiej, niż można to było przypuszczać. Ale przecież nie było w tym *żadnej* jej zasługi! Ot, tak jej to jakoś „wyszło”. A że mogło być inaczej i że powalone Państwo Polskie już nigdy mogło nie odrodzić się, a Naród Polski, mógł zostać zredukowany do zniewolonej i nie liczącej się grupki etnicznej, to *nikt* tego ani przez chwilę nie przewidywał!

Na uroczystości moskiewskie patrzę więc z dużym niesmakiem. Żeby choć można było dowiedzieć się *jak* w rzeczywistości było z wojną niemiecko-radziecką. W sześćdziesiąt lat po jej zakończeniu, Moskwa powinna wreszcie zdobyć się na jej obiektywną ocenę, dla własnego głównie dobra, a nie ciągle nurzać się w kłamstwach i niedopowiedzeniach! Za dziesięć lat *żadnej* „szumnej okazji” do tego już nie będzie. Tym razem weteranów wojny można było jeszcze przedefilować w ciężarówkach przed Putinem i zagranicznymi gośćmi, ale czy w 2015 r. będzie to możliwe?

Po co więc Moskwa porwała się na dzisiejsze uroczystości, skoro nie miała *nic* nowego do powiedzenia własnemu narodowi i światu, powtarzając jedynie szereg starych kłamstw, dziś nawet brzmiących bardziej złowieszczo niż dawniej? Czy nie ma już nic innego do powiedzenia?

Ten fakt właśnie zmusza mnie do kolejnej refleksji.

Chodzi mianowicie o okoliczności, w jakich 22 czerwca 1941 r. wybuchła wojna

niemiecko-radziecka. To, że rozpoczęły ją Niemcy - tego nikt nie kwestionuje. Ale w ostatnich latach, w Rosji zwłaszcza, dały słyszeć się głosy, że Hitler, choć Wehrmacht nie był do tego w pełni przygotowany, zaatakował ZSRR, żeby *uprzedzić* przygotowywane przez Armię Czerwoną uderzenie na Niemcy.

Prawda to, czy nie?

Otóż, z tego co można na ten temat wyczytać tu i ówdzie, gdyż Moskwa specjalnie tym nie się chwali, zarówno Hitler jak i Stalin, mniej więcej w tym samym czasie, w lipcu-sierpniu 1940 r., zdecydowali się na wojnę między sobą. O tym jak przygotowywały się do niej Niemcy już wiadomo, ale jak było z ZSRR? Podobno już w sierpniu 1940 r. Sztab Generalny Armii Czerwonej przygotował plan uderzenia na Wschodnie Prusy i północną Polskę, okupowaną przez Niemcy. Stalin uważał jednak, a „gry sztabowe” stanowisko jego potwierdzały, że należy uderzyć z kierunku Ukrainy, na Śląsk i potem wzdłuż Odry na Szczecin. Taki też wariant uderzenia Stalin miał jakoby zatwierdzić 11 marca 1941 r., a 12 maja tegoż roku został on „zapięty na ostatni guzik”.

Jak z tym wszystkim było naprawdę - nie wiadomo. Faktem jest jednak, że Stalin 5 maja 1941 r. na spotkaniu na Kremlu z absolwentami uczelni wojskowych mówił o *nadchodzącej* wojnie z Niemcami i że Armia Czerwona podejmie w niej działania ofensywne. Już w dniu następnym zresztą, objął też stanowisko premiera, Mołotowowi pozostawiając jedynie sprawowane przez niego równocześnie stanowisko szefa resortu spraw zagranicznych.

Coś więc „szczególnego” musiało się dziać, skoro Stalin zaczął skupiać *pełnię* władzy w swoich rękach. Tym niemniej pozostaje do wyjaśnienia czy istotnie uderzenie Armii Czerwonej na Niemcy miało nastąpić 12 czerwca 1941 r. Z Moskwy słyhać bowiem głosy, że nie tylko „planu strategicznej ofensywy” na zachód do tej pory nie znaleziono w archiwach, ale że publikowane dotąd „operacyjne mapy” z podpisem Żukowa, wówczas szefa Sztabu Generalnego, sugerujące jakoby Armia Czerwona miała niespodziewanie uderzyć na Niemcy, przy okazji „wyzwalając” ziemie polskie spod okupacji niemieckiej, były *jedynie* „sztabową grą”. *Krasnaja Zwiezda* z 22 czerwca 2000 r., publikując „mapę Żukowa” z 15 maja 1941 r., z zaznaczeniem na

niej kierunków uderzenia Armii Czerwonej w kierunku Krakowa, Katowic, Kielc i Warszawy, scharakteryzowała ją jako „wstępne idee” Żukowa, nigdy przez *nikogo* nie zatwierdzone!

Jako ciekawostkę można jeszcze dodać, że niektóre doniesienia o tworzeniu w 1941 r. „armii polskiej” w ZSRR, która miałaby wziąć udział w uderzeniu na Niemcy, jakoby zdecydowane uchwałą Biura Politycznego WKP(b) z 4 czerwca 1941 r., nie znalazły dotąd *nigdzie* oficjalnego potwierdzenia, A zresztą, jak można było tworzyć „polską armię wyzwoleńczą”, skoro przedtem polski oficerów niemal całkowicie wymordowano, a żołnierze marli w łagrach jak muchy! Ba, nawet „radzieccy Polacy” też byli wtedy masowo tępieni!

Powróćmy jednak do głównego tematu. Z publikowanych źródeł rosyjskich wynika, że ewentualne porwanie się przez ZSRR na wojnę z Niemcami, wówczas usadowionymi już niemal w całej kontynentalnej Europie, wymagało doprowadzenia Armii Czerwonej do pełnej gotowości bojowej, a na to potrzeba było w 1941 r. jeszcze *co najmniej* 1-2 lata czasu!

I ten fakt, w połączeniu z innym, spowodował prawdopodobnie, że 24 maja 1941 r. Stalin *odłożył* na późniejszy termin atak na Niemcy (jeśli tylko taki atak był istotnie planowany).

Innym powodem tej decyzji była podobno ucieczka 10 maja 1941 r. Rudolfa Hessa do Anglii. Stalin podejrzewał, że była to próba ze strony Niemiec zawarcia z nią pokoju i wspólnego uderzenia na ZSRR. Wolał więc poczekać na dalszy rozwój wydarzeń.

W każdym razie, są to wszystko *niepotwierdzone* oficjalnie przez Moskwę informacje. Co się zaś tyczy faktów, w odniesieniu do Niemiec dziś w pełni znanych, to Hitler 21 lipca 1940 r., nie czekając na wynik Operacji „Lew Morski”⁸, postanowił *zaatakować* ZSRR, wydając 18 grudnia tegoż roku dyrektywę „Plan Barbarossa”, przewidującą atak na ZSRR w maju 1941 r. Atak, który opóźnił się ze względu na niespodziewaną wojnę Niemiec na Bałkanach, nastąpił 22 czerwca.

Zaskoczenie ZSRR atakiem było całkowite i nawet dziś *nikt* w Moskwie nie przeczy temu.

⁸ W tym czasie Hitler jeszcze nie zrezygnował ze zdobycia Wysp Brytyjskich, choć po podjęciu decyzji wysadzenia na nich 13 dywizji, jednocześnie zaoferował Londynowi pokój (czego on nie przyjął). Do Operacji nie doszło ze względu na jej duże ryzyko, które zmniejszyć miała rozpętana przez *Luftwaffe* wojna powietrzna, zakończona w efekcie niemiecką klęską;

Dlaczego jednak ZSRR, mając doskonały wywiad, nie „wywęszył” przygotowywanej przez Niemcy agresji? Z tego co wiadomo, wywiad radziecki uprzedzał tylko w 1941 r. *co najmniej* 5-krotnie o ataku, podając nawet jego daty, ale daty mijały, a agresji nie było. Ostrzegał też Churchill, ale ze względu na ucieczkę Hessa do Anglii, wzmogło to tylko podejrzenia Stalina co do wiarygodności brytyjskich ostrzeżeń. Poza tym, Stalin jakoby nie wyobrażał sobie niemieckiej agresji bez uprzedniego ultimatum ze strony Hitlera. Na dodatek, wywiadowi radzieckiemu *nie udało się* zdobyć kopii „Planu Barbarossa”.⁹ Stalin wierzył też, iż II Pakt Ribbentrop-Mołotow z 28 września 1939 r. będzie przez Hitlera długo honorowany, gdyż ZSRR nie dawał Niemcom *żadnych* powodów do jego zerwania. Stało się jednak inaczej. We wstępie wspomianej radzieckiej encyklopedii wojennej pisze się nawet dosłownie o „*wierołomno napawszej na Sowietskujy stranu faszistskoj Giermanii*”! O właśnie, „faszystowskie Niemcy” *zdradziecko* napadły na „radziecki kraj”! Mołotow zresztą, któremu niemiecki ambasador Friedrich von Schulenburg w Moskwie we wczesnych godzinach porannych 22 czerwca 1941 r. odczytał faktyczną deklarację wojny, nie bez racji zapytał go, czy aby ZSRR „zasłużył na to”?

Co było potem już wiadomo. Stalin przeliczył się w swoim dowierzaniu Hitlerowi, że tak łatwo pogwałci zawarty z nim Pakt, a Hitler dość lekkomyślnie, jak wkrótce okazało się, założył rozbić Armię Czerwoną na „Linii A-A”, Archangielsk-Astrachań, w ciągu pięciu tygodni, a zakończenie wojny z ZSRR w ciągu pięciu miesięcy. Szybkie pokonanie ZSRR - rozumował Hitler - miało zmusić Anglię do pokoju.

Czy przebieg wojny niemiecko-radzieckiej mógł przybrać *inny* obrót? Sądzę, że mógł.

Po pierwsze, gdyby nie *rasistowski* stosunek do masowo wpadających w ręce Wehrmachtu jeńców radzieckich, czy ich stosunek do niepodległościowych aspiracji Ukraińców, Bałtów i innych „radzieckich ludów”, to Niemcy miałyby z nich *kilkumilionową* armię sojuszniczą.

Po drugie, Stalina uratował, paradoksalnie, niezwykle *nieudany* występ Armii Czerwonej

⁹ Wynikało to stąd, że „Plan” odbito tylko w 9 egzemplarzach, z czego 3 zostały przekazane w styczniu 1941 r. trzem rodzajom sił zbrojnych i nie dostały się one w niepowołane ręce, a 6 Hitler trzymał do końca w swoim sejfie;

na polu walki z Niemcami. Gdyby z miejsca poszła do przodu, jak to ponoć planowała, to najprawdopodobniej ZSRR walczyłyby w *osamotnieniu* z Niemcami. Anglia mogłaby bowiem zawiesić swoje działania wojenne przeciw nim, a USA pozostać nadal neutralne.

Stało się jednak inaczej. Ponośzone przez Armię Czerwoną klęski - przeraziły Anglię i USA, które podążyły z *masową* dla niej pomocą, żeby tylko mogła pozostać na polu walki.

Po trzecie wreszcie jak to już wspominałem w innym miejscu - Stalina uratowała napaść Japonii na USA. Hitler, wypowiadając w efekcie tego USA wojnę, dał im pretekst do rozprawienia się *najpierw* z nim. USA, co najważniejsze, skierowały wtedy do ZSRR „rzekę pomocy”, w ramach wspomnianego już powyżej *lend-lease* (z jego dostaw ZSRR korzystał od listopada 1941 r., na dwa miesiące *przed* podpisaniem odpowiedniego porozumienia!).

I tak, Stalin, mimo popełnienia wielu karygodnych błędów przed rozpoczęciem przez Niemcy wojny z ZSRR, przez pierwsze półtora roku jej trwania, tak jak i potem, w końcu *zdecydowanie* wygrał wojnę.

Czy ktokolwiek w Rosji lub innych krajach b. ZSRR, a nade wszystko w USA, Anglii i gdzieindziej w świecie, przypomina teraz o tym kremlofskiemu kierownictwu?

Skądże! Wszyscy biją czołem przed zwycięstwem Moskwy nad Berlinem i wołają już prawdy historycznej nie przypominać jej! Bo i po co? Niczego to już nie zmieni, a w dobie „wojny z terroryzmem” Rosja liczy się i lepiej z nią nie zadzierać...

A że Polacy czy Bałtowie mają jakieś „ale”, to kto czymś takim by się przejmował? Gen. George Casey, dowódca wojsk amerykańskich w Iraku, powiedział przecież niedawno korespondentowi ABC, że Polacy, pełniący tam „stabilizacyjną” służbę, odwdzięczają się teraz USA za to, że...wyzwoliły ich spod dominacji sowiecko-komunistycznej!

Cóż za bzdury! No i czyż nie miał racji starożytny ateński historyk Tukidides, że „*silni robią co mogą, a słabi cierpią, co wycierpieć muszą*”?

I na tym kończę swoje „rocznicowe refleksje”.